

POLSKA I KOŚCIÓŁ W ZJEDNOCZONEJ EUROPIE

Zapadło mi głęboko w pamięci spotkanie Polaków uczestniczących czynnie (jako oficjalna delegacja Episkopatu Polski) w Międzynarodowym Kongresie Mariologicznym i Maryjnym, jaki się odbywał w dniach 11-20 września 1987 r. w sanktuarium Maryjnym w Kevelaer, pięknej miejscowości położonej w pobliżu granicy niemiecko-holenderskiej, z rektorem tegoż sanktuarium (i miejscowym proboszczem zarazem) ks. prałatem Richardem Schulte Staade, pełniącym te obowiązki do dnia dzisiejszego. Otóż zechciał on spotkać się z grupą Polaków, aby podzielić się z nami swymi dosyć bolesnymi refleksjami, które potraktował jako swoiste ostrzeżenie dla nas. Mówił mianowicie, że chociaż w samym sanktuarium tego jeszcze nie widać (a byłem tam ostatnio we wrześniu 2005 roku na kongresie poświęconym kultowi św. Józefa w Kościele i mogłem stwierdzić ponownie jako naoczny świadek wielki ruch pielgrzymkowy i atmosferę głębokiej modlitwy promieniującej na niemal całe to miasteczko), to przecież zalewa Europę od Zachodu (z Francji, Belgii, Holandii, a ostatecznie chyba ze Stanów Zjednoczonych) olbrzymia fala laicyzacji, niszcząca po drodze wszystko, co religijne. Ksiądz Kustosz mówił, że jeszcze 20 lat temu, gdy był młodym kapłanem, Niemcy były bardzo religijne: żywą wiarę w Boga odczuwało się niemal na każdym kroku, katolicy wypełniali regularnie świątynie, a księża mieli pełne ręce roboty... Nawet nie zauważono, jak i kiedy (czyżby w związku z Soborem Watykańskim II, który miał przecież ożywić jeszcze bardziej życie religijne w Kościele?) pojawił się ten istny zalew laicyzacji, groźny zwłaszcza dlatego, że jest poniekąd anonimowy. Przesłanie księdza Rektora, adresowane do nas – Polaków, brzmiało: Czuwajcie! Skoro myśmy nie spostrzegli, kiedy ta fala z Zachodu (na wschodzie Niemiec Zachodnich była przecież szczelna granica z NRD i wróg był dobrze znany!) przyszła do nas, to uważajcie, bo za dwadzieścia lat (a może nawet i wcześniej) nie tylko dojdzie do was i was zaleje, ale zrobi z wami to, co zrobiła już z nami. Oby więc się nie sprawdziło jeszcze raz znane wam dobrze przysłowie: Mądry Polak (katolik!) po szkodzie!

Dlaczego o tym piszę? Gdy słuchaliśmy tych słów, chronił nas jeszcze przed (dzikim?) Zachodem osławiony „Mur Berliński”, a z dobrze znanym nam wrogiem (ze Wschodu) umieliśmy już jakoś sobie radzić. Ale już w 1989 r. upadł tenże „mur”, granice się otworzyły nie tylko dla nas, ale i dla „nich”: bardzo szybko przeróżne sekty (amerykańskie) zaczęły zalewać Polskę (mam tu na myśli zwłaszcza mormonów, ale nie tylko, którzy budowali swoje świątynie i ośrodki w Warszawie oraz w innych miastach Polski). Chociaż starały się one „apostołować” na swój sposób (otrzymałem nawet od mormonów *Księgę Mormona* za darmo!), okazały się jednak z biegiem czasu mało groźne. Niebezpieczeństwo czaiło się gdzieś pod ziemią i wydobywało się z niej wszędzie, jak dzikie i pożerające wszystko bestie w jednym z filmów zachodnich. Po pierwszych mniej lub bardziej udanych atakach bestie te przywdziewają coraz to nowe maski.

1. Miejsce Polski w Europie

Polska nie tylko znajduje się geograficznie w samym centrum Europy, ale jest też od wieków jej ważnym elementem składowym, co sprawia, że Europa nie może się nie liczyć z istnieniem w samym jej środku czterdziestomilionowego narodu autentycznie chrześcijańskiego, co więcej: katolickiego. I to właśnie Europę, albo raczej jej wpływowych działaczy i polityków, bardzo niepokoi: Polska w swym obecnym kształcie nie pasuje do narzucanych wszelkimi możliwymi sposobami jej mieszkańcom idei rzekomej demokracji, rzekomej wolności, rzekomej równości, rzekomej sprawiedliwości społecznej czy rzekomego braterstwa (dostrzec tutaj można bez trudu główne hasła i idee Wielkiej Rewolucji Francuskiej, obecne zresztą także – chociaż w innym kontekście i tekście – w Polsce przedrozbiorowej). Używam świadomie przymiotnika „rzekomy”, bo każdy widzi, jak na dłoni, że wszystkie te szczytne hasła i idee są w życiu konkretnego człowieka pustosłowiem i fikcją. Brakuje w rzeczy samej – i ludzie prości boleśnie to odczuwają – minimalnej choćby uczciwości, sprawiedliwości, równości, braterstwa... Rządzą światem (i Polską) mafie, gangi, układy społeczne czy polityczne... W takiej sytuacji powszechnego zakłamania, propagowanego na wszelkie możliwe (i z reguły nieuczciwe) sposoby, Jan Paweł II, odczuwając głęboko związaną ze swym wyborem na papieża własną misję w Kościele i świecie, wciąż z całą mocą podkreślał niezbywalne prawa każdego narodu i człowieka do godnego i autentycznego życia, nawołując Europę do nawrócenia, któremu miało

służyć m.in. akcentowane tak mocno przez niego w ciągu całego pontyfikatu dzieło nowej ewangelizacji. W swej głębokiej trosce o duchowe oblicze przyszłej Europy i świata Jan Paweł II od pierwszego swego publicznego wystąpienia na balkonie bazyliki watykańskiej w dniu 16 października 1978 r. nawoływał: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!” – „Nie lękajcie się!” – „Tylko On, jeden jedyny, jest Zbawicielem świata!” W tym także duchu mówił o obecności Polski i Polaków w zjednoczonej Europie: nasz kraj i jego mieszkańcy powinni wnieść nowego ducha w ten stary, zmurszały już kontynent, ducha Ewangelii! Ażeby jednak Polacy nie byli w swych poczynaniach osamotnieni, nawoływał także inne narody katolickie do tego, by były „solą ziemi i światłem świata” w zjednoczonej Europie. Właśnie o tym mówił i do takiej postawy przekonywał także Włochów, przemawiając 15 listopada 2002 roku we włoskim parlamencie. „Jeżeli chce się trwałej stabilizacji nowej jedności Europy, należy zadbać o to, ażeby opierała się ona na tych fundamentach etycznych, które kiedyś stanowiły jej bazę, robiąc jednocześnie miejsce dla bogactwa i odmienności kultur i tradycji, które cechują poszczególne narody. Chciałbym i wobec tego szlachetnego Zgromadzenia ponowić apel, z jakim w tych latach zwracałem się do wielu narodów kontynentu: «Europo, na progu nowego tysiąclecia otwórz znów swoje drzwi Chrystusowi!»”

Żegnając się zaś po raz ostatni z Polską 19 sierpnia 2002 roku na lotnisku w Balicach pod Krakowem Jan Paweł II powiedział: „Niech zapanuje duch miłosierdzia, bratniej solidarności, zgody i współpracy oraz autentycznej troski o dobro naszej Ojczyzny. Mam nadzieję, że pielęgnując te wartości, społeczeństwo polskie – które od wieków przynależy do Europy – znajdzie właściwe sobie miejsce w strukturach Wspólnoty Europejskiej i nie tylko nie zatraci własnej tożsamości, ale ubogaci swą tradycją ten kontynent i cały świat”

Papież, z racji swojego urzędu, nie wypowiadał się (i nie powinien był wypowiadać się) w kwestiach czysto gospodarczych lub politycznych; mógł natomiast i powinien był zabierać głos w sprawach teologiczno-moralnych, dotyczących człowieka i jego obecności w świecie. Obserwując bacznie poczynania polityków różnych maści oraz sytuację człowieka i Kościoła w Europie i świecie, stwierdzał wciąż z naciskiem, że cała Europa i świat potrzebują nowego ducha, wewnętrznej odnowy. Żył też wielką nadzieję, iż jego własna Ojczyzna, tak bardzo – w oczach świata – katolicka i tak bardzo dumna ze swego Wielkiego Rodaka, wniesie autentycznie chrześcijańskie wartości do tej zgrzybiałej już duchowo i rozdzieranej mocno wewnątrz różnymi

nowatorskimi rzekomo prądami starej Europy. Słyszcy się obecnie dosyć często, po Jego odejściu do Pana, głośno formułowane pytanie: czy zwłaszcza Polacy (choć nie tylko), tak bardzo związani z Nim uczuciowo, starają się wcielać w życie te wszystkie Jego wskazania? Dodałbym jeszcze od siebie to drugie, zasygnalizowane już na wstępie, pytanie: czy są czujni?

Idąc za sugestią i życzeniem Jana Pawła II, wydaliśmy przed kilku laty tom 14 Kolekcji „Communio”, poświęcony w całości *Męczennikom XX wieku* (Poznań 2001). Gdy przygotowywałem odnośne materiały do druku, uderzyła mnie mocno sytuacja Meksyku na początku XX wieku: oto w tym niemal w stu procentach katolickim kraju, w którym zaczęto wprowadzać z wielkim zapalem w życie społeczną naukę Kościoła, której wytyczne podał oficjalnie papież Leon XIII w encyklice *Rerum novarum* (1891), doszli stopniowo do władzy masonscy liberałowie, panoszący się już wcześniej w Stanach Zjednoczonych, którzy nie mogli ścierpieć tego, że tuż za granicą ich bezpośrednich wpływów znajduje się kraj (państwo Meksyk) autentycznie katolicki. Przez ponad pół wieku, począwszy od połowy XIX wieku, „rozpracowywali” zatem umiejętnie ten kraj, aby nim (rzekomo demokratycznie!) zawładnąć i wprowadzić własne, masonskie porządki. Doprowadzili też wkrótce do uchwalenia (w 1917 r.) najbardziej wrogiej Bogu i Kościołowi Konstytucji, która zalegalizowała oficjalnie zabijanie (męczenie, więzienie i mordowanie w obliczu prawa) księży i wiernych świeckich, wymiatając z Meksyku wszelkie przejawy religijności. Nic też dziwnego, że Jan Paweł II wybrał właśnie Meksyk za cel swej pierwszej podróży apostolskiej, stawiając władze tego kraju w trudnej sytuacji, albowiem obowiązująca wciąż Konstytucja zabraniała używania stroju duchownego (władze uznały wówczas oficjalnie, że biała sutanna papieska nie jest strojem duchownym, ale osobistym „garniturem” papieża), i że odwiedził ten kraj jeszcze kilka razy. Z zachowanych dokumentów wynika, że już za pierwszym razem mówiono Mu dosyć oficjalnie w Meksyku, iż jest to kraj w dziewięćdziesięciu sześciu procentach katolicki, a w stu procentach – guadalupiański (Maryjny?). Jak zatem doszło do tego, że katolicy utracili tam na niemal sto lat prawo głosu? że nawet ich powstania przeciw panującej władzy na przełomie lat 20/30-tych XX wieku kończyły się porażką? Ktoś (z zewnątrz?) tak „rozpracowywał” tych ludzi, że propagowana tu głośno demokracja była po prostu pisana palcem na wodzie. Gdy przygotowywałem wspomniane materiały do druku, a jest tam mowa o prześladowaniach Kościoła w Hiszpanii, Niemczech

hitlerowskich, Związku Radzieckim, w Albanii, Wietnamie, Chinach, na Kubie itd., wciąż się zastanawiałem nad tym, czy od wielu już lat Polska nie jest dla przeróżnych „wielkich” tego świata takim właśnie krajem, z którym trzeba wreszcie sobie jakoś poradzić i przerobić „na swoje kopyto”? Przecież niektórzy wysoko „ustawieni” politycy tak się często zachowują, jak gdyby Polska i naród w niej mieszkający był całkowitą ich własnością. Najbardziej śmieszne, ale i zaskakujące, jest to, że dawni komuniści, którzy nie mieli najmniejszego nawet pojęcia o demokracji, stają się najgorliwszymi jej piewcami. Natomiast za-trważające powinno być to, że nie potrafią żyć bez uzależnień i bez padania na kolana (modlitewnie?) przed wielkimi tego świata: dawne nasze uzależnienie od Związku Radzieckiego chcą zastąpić całkowitą naszą uległością Unii Europejskiej? Czyżby im zależało tak bardzo na dobru Polski i Polaków? – jak to wciąż uporczywie głoszą! A może to Unii powinno bardziej zależeć na nas, ale oni (zaślepieni tą swoją, świeżo nabytą „europejskością”, która zastąpiła dawną międzynarodówkę komunistyczną) nie potrafią tego dostrzec: czy rzeczywiście na tej uległości wobec Unii ma polegać autentyczna troska rządzących o dobro obywateli? Patrzmy trzeźwo na otaczającą nas rzeczywistość, albowiem walka toczy się wciąż o człowieka: o pozyskanie go dla siebie, o zniewolenie (narkotyki) i zdeprawowanie (seks, pornografia – mające prawo obywatelstwa w Unii). Czy piszę demagogicznie? Nie! Chcę tylko otworzyć oczy na tak palące dzisiaj kwestie i skłonić do refleksji, do pogłębionego myślenia. Podobnie zresztą rzecz ma się z reklamami, które stanowią olbrzymie źródło dochodu dla wszelkich rodzajów środków masowego przekazu: czy chodzi w nich o dobro człowieka – adresata tychże reklam, czy tylko o zysk, czyli o pozyskanie go jako ewentualnego klienta? Krótko mówiąc: czy liczy się człowiek, jego ludzka godność, czy też tylko i wyłącznie pieniądz, zysk, kapitał? I czy Kościół – jak sobie tego oni życzą – ma milczeć, nie widzieć, dopasować się do tego wszystkiego?

2. Uwarunkowania historyczne i nie tylko

Na tym tle pojawia się problem lustracji, rozciąganej obecnie także na Kościół. Nie przeczę, że lustracja była potrzebna i że w swym (niewątpliwie nazbyt) umiarkowanym wydaniu pozwoliła odsunąć wielu dawnych aktywistów partyjnych od bardziej renomowanych stanowisk. Nie zlustrowano jednak samego „aparatu bezpieczeństwa”, który przeszedł po roku 1989 jakąś tam weryfikację, przyjmując nazwę

UOP-u, a potem ABW, i prowadząc nadal działania wymierzone wprost w Kościół katolicki (nie mieszać z innymi wyznaniem!). Nie mam cienia wątpliwości w tej sytuacji, że omawiana wciąż w sejmie lustracja, przy niemal totalnej nieświadomości posłów, jest zasłoną dymną na to, co nadal dzieje się w Polsce. Zwraca się po prostu uwagę wszystkich na przeszłość (znamienna jest tu nieprzekraczalna data: rok 1989!), aby zatuszować teraźniejszość i o niej w ogóle nie mówić. Widać to było jak na dłoni na procesie lustracyjnym pani Zyty Gilowskiej, na którym sędziowie (kompromitując całkowicie siebie i swój urząd sędziowski) nie pozwalali mówić świadkom (byłym funkcjonariuszom UB) zbyt wiele, ale tendencyjnie ukierunkowywali pytania przeciw „oskarżonej” Widać to jeszcze wyraźniej w pracy IPN-u, którego pracowników nikt nie raczył zweryfikować.

Otóż przyglądając się temu, co dzieje się w Polsce od kilku już lat, nie można nie odnieść wrażenia, że zapanowała jakaś histeria (nie mieszać z historią!) lustracyjna w odniesieniu do księży i Kościoła. Człowiek trzeźwo myślący i znający choć trochę tę niedawną przeszłość musi się pytać: o co tu w gruncie rzeczy chodzi? Czy o oczyszczenie pamięci, o jakim mówił przy okazji Wielkiego Jubileuszu niezapomniany Jan Paweł II? Czy też o inny sposób walki z Kościołem, polegający na ustawicznym podważaniu jego wiarygodności, autorytetu? O żadnym przecież przestępcy dziennikarze i środki masowego przekazu nie mówią po nazwisku i imieniu, starając się – w myśl prawa powszechnego – zachować jego dobre imię! A na ludzi Kościoła wydaje się publicznie wyroki, odsądzając ich od czci i wiary oraz pomawiając o jak najgorsze rzeczy (z naruszeniem tajemnicy spowiedzi włącznie, co jest oczywistym absurdem!).

Niejednemu młodemu naukowcowi, dziennikarzowi lub historykowi pracującemu w IPN, może się wydawać, że wraz z doktoratem zdobył monopol na prawdę: potrafi więc odczytywać dokumenty i wyciągać z nich właściwe wnioski. Niestety, w takiej właśnie postawie tkwi zarzewie poważnego błędu, nie tylko metodologicznego, ale i merytorycznego, polegającego na całkowicie spaczonym, jednostronnym, podawanym przy tym jako naukowe i rzetelne wyjaśnienie konkretnego faktu (wydarzenia) historycznego. Oto kilka przykładów:

1. Gdy niejaki pan Kieres, wówczas prezes IPN, zaczął zakłócać wspaniałą atmosferę modlitwy i zadumy po śmierci naszego Wielkiego Papieża, sącząc sprytnie pogłoski o jakimś tajnym współpracowniku SB, mającym donosić rzekomo na Papieża, zadawano mi pytania i sam zastanawiałem się nad tym: kto za tym stoi? ewentualnie: kto mu za

to płaci? Niepodobna było bowiem uwierzyć, iż jest to czysty przypadek, a tym bardziej w to, że chodzi tu o dobro wiernych i Kościoła! Kiedy zaś padło nazwisko o. Konrada Hejmo, nie miałem już najmniejszej wątpliwości co do tego, że jest to po prostu potwarz, oszczerstwo. Potem zajęli się tą sprawą wspomniani już „historycy”. Nie wiem, gdzie kończyli swe studia, ale sławy swoim uczelniom i profesorom z pewnością nie przynoszą. Ich raport nie był bowiem wynikiem rzetelnej pracy historycznej, ale ukartowanym z góry wyrokiem. Rzetelność pracy historyka wymaga bowiem najpierw jasnego stwierdzenia, iż taką dokumentację (zresztą źle przez nich odczytaną, co – na moją wyraźną prośbę – wykazał im o. prof. Jacek Salij) zawierają archiwa IPN. Mogła by być ona, co najwyżej, jakimś niewielkim przyczynkiem do badań nad pracą tego czy innego esbeka, ale nie pozwala żadną miarą na wyrokowanie o danym konkretnym człowieku. Rzetelny historyk dotarłby do ludzi współpracujących z o. Konradem, uwzględniłby szereg innych dokumentów i świadectw, gdyż bez takich dociekań niemożliwe jest po prostu stwierdzenie prawdy historycznej. Nikt z tych panów tego nie zrobił. Gorzej jeszcze: gdy o. J. Salij przeszedł osobiście wnikliwie dokumenty zawarte w teczkach o. Hejmo i opisał dokładnie to, co w nich znalazł, ani pan Kieres, ani żaden ze wspomnianych „historyków”, nie zgodził się na opublikowanie jego sprostowania. Nie udostępniono również szerszemu gronu odbiorców obszernej wypowiedzi o. Hejmo, sporządzonej przez niego po przeczytaniu tego raportu. Wydano na niewinnego człowieka, który – jak wynika to na sto procent z zachowanych w IPN notatek służbowych przydzielonego o. Konradowi esbeka – odmawiał wszelkiej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, a jedynie rozmawiał z konkretnymi ludźmi, z którymi musiał się spotykać najpierw jako sekretarz miesięcznika „W Drodze”, a potem ze względu na pełnione przez siebie funkcje w Rzymie (gdzie sam zaczął niedowierzać przedstawionemu mu jako rzecznik Episkopatu niemieckiego panu M.* i nawet udał się osobiście do RFN, aby zweryfikować swoje wątpliwości w parafii tegoż pana). Czy sama grzeczna rozmowa z człowiekiem, którego mogę jedynie podejrzewać, a może nawet i wiem o tym (ale na jakiej podstawie, skoro nie mam żadnych na to dowodów?), że jest pracownikiem SB, może już uchodzić za współpracę? A co by powiedziano na to, gdyby dany ksiądz (lub biskup) dzielił ludzi na lepszych i gorszych, z jednymi się spotykał, innych zaś odtrącał?

2. Stawiam wciąż sobie i innym bardzo ważne pytanie: Dlaczego nigdy nie mówi się o tym, że istniał w Polsce Urząd ds. Wyznań

(w randze ministerstwa, chociaż ministerstwem nie był, bo komuniści nie chcieli przypisywać Kościołom i różnym religijnym wyznaniom aż tak wielkiej rangi). Różnie ten urząd się zachowywał – wedle wytycznych odgórnych i zmian systemowych. Niekiedy nasilało się wyraźnie prześladowanie Kościoła, jak choćby za rządów Gomółki (zwłaszcza w trakcie obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski), a niekiedy słabło, gdy rząd zaczynał stosować inną politykę wobec Kościoła (jak np. w pierwszych latach panowania Gierka). Odczuwało się to wyraźnie w postawie pracowników tego urzędu, któremu – trzeba to z całą mocą podkreślać – podlegały wszystkie sprawy związane z Kościołem i szeroko pojętym jego duszpasterzowaniem. Bywały czasy i ludzie (księża, biskupi), którzy walczyli z urzędem lub go ignorowali, marnie na tym przeważnie wychodząc. Żyjąc w konkretnym państwie – Polsce, Kościół hierarchiczny uświadomił sobie z biegiem czasu, że nie może walczyć z Urzędem państwowym. Musi z nim współpracować. I tu właśnie zaczyna się problem istotny, związany z tzw. lustracją. Ani biskup, ani dany konkretny ksiądz (proboszcz, wikariusz) nie miał wpływu na to, kto w tym urzędzie zasiada: esbek czy ktoś inny? Od postawy obydwu rozmówców zależało więc w niejednym przypadku załatwienie konkretnej sprawy (choćby zgody na procesję Bożego Ciała po wytyczonej ściśle trasie, czy też – tym bardziej – na budowę lub remont jakiejś części kościoła, plebanii, cmentarza kościelnego...). Na podstawie własnych rozlicznych doświadczeń w tej dziedzinie muszę stwierdzić dobitnie w tym miejscu, iż nie wszyscy esbecy byli ludźmi wrogo nastawionymi do Kościoła: niekiedy byli to ludzie zagubieni życiowo, którzy wstydzili się własnej pracy (w kręgach kościelnych nazywano ich „smutnymi”, bo często zakrywali sobie twarze kołnierzem przy płaszczu lub marynarce), a nawet w poczuciu własnej winy chcieli po cichu dopomagać Kościołowi (musieli bowiem chodzić na nabożeństwa, słuchać kazań, robić sprawozdania, donosić swoim zwierzchnikom...). Czy mamy moralne prawo ich wszystkich potępiać? Sam Chrystus tego by nie uczynił. A przecież taką postawę sugerują nam jeśli nie wprost, to przynajmniej ubocznie, rozliczni, uważający się za katolików, dziennikarze. I czy mamy moralne prawo potępiać księży, zwłaszcza tych księży, którzy potrafili po ludzku rozmawiać z tymi esbekami, dając im swym ludzkim, życzliwym podejściem poczucie ich własnej wartości, szanując ich i traktując bratersko i poważnie?

Nie chcę w ten sposób powiedzieć, że nie było księży zdrajców, konfidentów. Ale pragnę podkreślić dobitnie, że ich księża koledzy czy

przełożeni przynajmniej się tego domyślali i dlatego w ich obecności zmieniali zazwyczaj temat prowadzonej rozmowy. Z własnego doświadczenia wiem, że w naszym pallotyńskim nowicjacie było (w roku 1952) aż trzech agentów bezpieki, a gdyśmy ich kolejno demaskowali tak, że oni sami skrycie uciekali z domu, w styczniu 1953 r. milicja złapała siłą dwóch następnych kolegów, którzy wybrali się w niedzielę po południu na przechadzkę, i przetrzymała jednego do trzeciej godziny w nocy, a drugiego do szóstej godziny rano. Przełożeni wyciszyli tę sprawę, ale po politycznej odwilży, jaka miała miejsce w 1956 r., jeden z nich musiał mieć chyba jakieś wyrzuty sumienia, bo opowiedział mi osobiście podczas pielgrzymkowej podróży do Częstochowy w 1957 r. całe to zdarzenie, drugi zaś kilka lat po święceniach porzucił kapłaństwo. Sytuacja psychicznego, duchowego łamania moich księży kolegów towarzyszyła mi przez lata, ja sam zaś nie byłem nigdy osobą bezstronną, gdyż starałem się – niekiedy na wyraźne polecenie moich przełożonych – ratować danego człowieka. Czy akta IPN są w stanie odtworzyć choć odrobinę z tych wielu wielkich dramatów ludzkich?

3. Sprawa najważniejsza. Obmowa i oszczerstwo mogą być i bywają nierzadko grzechami ciężkimi. Obmowa – a powinien wiedzieć o tym każdy katolik! – ma miejsce wtedy, gdy się upublicznia (ujawnia) czyjeś grzechy lub wady ukryte (nieznane). Oszczerstwem jest natomiast mówienie nieprawdy, czyli oczernianie innych. Pytam się zatem głośno: kto upoważnił kogokolwiek do obmawiania i/lub oczerniania swoich bliźnich? Owszem, można i trzeba wyjawiać jakiś fakt ukryty, gdy kryje się za nim poważne niebezpieczeństwo dla innych, otoczenia, środowiska, a więc wtedy, gdy dany człowiek może być niebezpieczny. I tak właśnie postępowano dawniej celem zachowania nieodzownej w życiu publicznym ostrożności. Zamykanie drzwi domu na klucz nie jest przecież niegodziwe, chociaż sugeruje, że ktoś może być złodziejem. Nie można natomiast zniesławiać, szkalować, obmawiać nikogo! Kiedy więc dziennikarze, rzekomo katolicy, a przynajmniej uważający się za katolików, nawołują do publicznej lustracji w Kościele, nawołują tym samym do publicznego grzeszenia: nie tylko sami łamią Boże przykazanie, ale chcą, by Kościół czynił to samo. Jeżeli zatem Kościół hierarchiczny w Polsce podchodzi do tzw. lustracji z wielkim dystansem (bo kto potrafi sprawdzić rzetelnie i uczciwie rzeczywistość kryjącą się za tzw. teczkami ubeków?), to jedynie po to, by chronić wrodzoną godność każdego człowieka i ratować innych przed popełnianiem, w sposób jawny i publiczny, bardzo poważnego grzechu przeciwko

miłości bliźniego. Kto jak kto, ale prawdziwy katolik nie powinien się wsłuchiwać w głos dziennikarzy, a tym bardziej im wierzyć, albowiem to nie do nich należy ostatecznie słowo w sprawach wiernych i Kościoła. To nie im zresztą także zależy na dobru Kościoła, chociaż niekiedy głośno o tym mówią, albowiem namawiając Kościół do czynienia zła (popelniania grzechu obmowy lub oszczerstwa) pragną (świadomie lub nieświadomie) go jedynie poniżyć i/lub podeptać.

Tak właśnie dziennikarze, opierając się na materiałach dostarczonych im z IPN-u, postąpili nie tak dawno z biskupem S. Wielgusem i kilkoma innymi biskupami lub księżmi. Niezwykła pewnośc siebie w atakowaniu bp. Wielgusa przez dwóch zwłaszcza dziennikarzy rodziła nie tylko we mnie pytanie: kto za tym stoi? kto i w jakim celu podsunął im te „kąski” do strawienia (nagłośnienia)? Mówili oni głośno, iż leży im na sercu dobro Kościoła w Polsce, a walczyli z jego przedstawicielami metodami z piekła rodem. Również obie powołane w tej sprawie komisje nie zdały egzaminu: sam skład tej pierwszej powołanej przez Rzecznika Praw Obywatelskich przesądzał już z góry o jej werdykcie (brak logiki u profesora P. wykazał ktoś w debacie telewizyjnej, gdy na pytanie o konieczność przesłuchania świadków padła z ust profesora odpowiedź, iż są oni niewiarygodni; jeżeli są niewiarygodni, to dlaczego ich opinie uznano za wiarygodne?), ta druga zaś „kościelna” wykazała od razu swą niekompetencję, działała bowiem zbyt szybko i jakby na zamówienie, dyskryminując samą siebie wydanym przez siebie tak pochopnie wyrokiem. Żeby zaś było jeszcze ciekawiej (co powinno nam także otwierać oczy): gdy poruszeni tą nagonką na ludzi Kościoła niektórzy księża i wierni świeccy, niekoniecznie nawet sympatyzujący z ofiarami nagonki, zaczęli dociekać prawdy i badać fakty, okazało się i okazuje nadal, iż – tak jak miało to miejsce w przypadku o. Konrada Hejmo (kto mu przywróci zbezczeszczonej godność?) – jest to jeden wielki stek kłamstw, pomówień i oszczerstw, nie mających na ogół żadnego potwierdzenia w faktach (nawet w tzw. dokumentach IPN, którego pracownicy zapytywani w tej sprawie udzielają na ogół fałszywych i/lub pokrętnych wypowiedzi). Nasuwa się więc na nowo postawione już wyżej pytanie: o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi? Czy nie jest to, być może, jakaś nowa forma walki z Kościołem w Polsce? Zachowanie niektórych osób w katedrze warszawskiej w niedzielę 7 stycznia 2007 r. dało wielu ludziom wiele do myślenia.

Ongiś, przed laty wypisałem na obrazku prymicyjnym słowa Chrystusa: „Ufajcie, Jam zwyciężył świat!” Bałem się wówczas, że cenzura

państwowa (był to rok 1959!) nie przepuści tego napisu i podalem awaryjnie inny, ale jakoś ten pierwszy przeszedł. Tymczasem te właśnie słowa Jezusa wieńczą Jego rozliczne zapowiedzi dotyczące prześladowania Jego uczniów, zgorszeń, odejść, podziałów itd. w Kościele. Wszystko to, co działo się dawniej i dzieje się na naszych oczach, Jezus wyraźnie przewidział i zapowiedział. Śmiem nawet twierdzić, iż gdyby tak nie było, tzn. gdyby Kościół nie był święty i grzeszny zarazem, boski i ludzki, wzniosły i ziemski, a nade wszystko ze wszech stron prześladowany, nie byłby już autentycznym Kościołem Jezusa Chrystusa. Wypada przeto wraz z niezapomnianym Janem Pawłem II wołać: Nie lękajcie się i ufajcie wy, którzy w Boga wierzycie: Chrystus wciąż zwycięża, a moce piekielne, udające często niewinnych baranków, nie zniszczą Kościoła. Ale trzeba także pamiętać wciąż o tym, iż sam Chrystus wzywa nas do wielkiej czujności i do niezwykle trudnej umiejętności „rozeznawania duchów”: „Kto jest z Boga, słów Bożych słucha. Wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście” (J 8, 47). Więcej jeszcze, wszelkim oszczercom mówi wprost i wyraźnie: „Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać požądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i nie wytrwał w prawdzie, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa. A ponieważ Ja mówię prawdę, dlatego Mi nie wierzycie” (J 8, 44-45).

A tak na marginesie tych rozważań można by chyba i trzeba by nawet postawić pytanie: czy IPN powstał po to, by jakaś grupa osób „trzymających w nim władzę”, względnie „uważających się za (nieomylnych) historyków-fachowców”, mogła szastać swoją rzekomą wiedzą i potrząsać podstawami praworządności w naszym Kraju?

3. Diagnoza

Nie da się zaprzeczyć, że od XVI wieku, czyli od czasów Reformacji, dominowały w Europie, rzutując także na podbijane przez nią kraje i narody, dwa zasadnicze nurty myślowe: katolicki i protestancki, z typowym dla każdego z nich patrzaniem na człowieka. O ile mianowicie katolicyzm akcentował mocno, w ślad za Soborem Trydenckim, nie tylko grzeszność człowieka zranionego mocno już samym grzechem pierwotnym, ale także możliwość i konieczność prawdziwego usprawiedliwienia, czyli wewnętrznej odnowy człowieka, to protestantyzm, przekreślając całkowicie możliwość usprawiedliwienia, trzymał się zasady podanej przez M. Lutera, że mianowicie człowiek

jest równocześnie „święty i grzeszny” (*simul iustus et peccator*) i dlatego skazany jest właściwie na wieczne potępienie, chyba że swą głęboką wiarą ściągnie na siebie miłosierdzie Boże – zgodnie z innym postulatem tegoż reformatora: „grzesz mocno, wierz mocniej, a będziesz zbawiony” O ile więc katolicyzm akcentował mocno pokutę i nawrócenie, jako warunki osiągnięcia życia wiecznego, będącego autentycznym celem ziemskiego życia człowieka, to protestantyzm sugerował raczej maksymalne wykorzystanie tegoż życia doczesnego w przeświadczeniu, iż na życie wieczne nie ma co za bardzo liczyć. Takiemu właśnie (protestanckiemu raczej) myśleniu Europa zawdzięcza w wielkiej mierze swój rozwój gospodarczy i ekonomiczny: dopiero po drugiej wojnie światowej zacofane dotąd gospodarczo kraje „katolickie” starały się nadrobić swoje zaległości w tej dziedzinie. Należy jednak obiektywnie stwierdzić, iż obok tych pozytywnych dla człowieka żyjącego na tej ziemi skutków, protestantyzm, we wszystkich swoich przejawach i odmianach, niesie wciąż ze sobą rozliczne zagrożenia, nazywane wielokrotnie po imieniu przez Jana Pawła II. Są to jakże niszczycielskie i zgubne dla człowieka w jego wymiarze jednostkowym i społecznym: utylitaryzm, konsumpcjonizm, hedonizm oraz całkowite nieliczenie się z dobrem drugiego człowieka. Kiedy bowiem cała uwaga skupia się wyłącznie na życiu doczesnym i maksymalnym jego wykorzystaniu, ginie wówczas z pola widzenia istotny cel i sens życia ludzkiego: liczą się jedynie przyjemności, rozrywki, wygoda, dobrobyt... Zanika także niemal bezpowrotnie autentyczne odniesienie człowieka do Boga. Sam człowiek staje się panem swojego losu, to on decyduje o dobru i złu (por. Rdz 3, 5 – grzech pierworodny), o swoim (i nie tylko swoim) życiu i śmierci...

Oceniając życiową sytuację człowieka współczesnego, Sobór Watykański II stwierdził m.in.: „Nigdy jeszcze rodzaj ludzki nie obfitował w tak wielkie bogactwa, możliwości i potencjał ekonomiczny, a jednak ogromną część mieszkańców świata wciąż dręczy głód i ubóstwo, bardzo liczni zaś jawnie cierpią na skutek analfabetyzmu. Nigdy ludzie nie mieli tak silnego, jak dzisiaj, poczucia wolności, a tymczasem wciąż powstają nowe rodzaje zniewolenia społecznego i duchowego. Podczas gdy świat tak żywo odczuwa swoją jedność oraz wzajemną zależność jednostek w koniecznej solidarności, jest jednak rozrywany w różne strony przez zaciekle walczące ze sobą siły. Nadal bowiem utrzymują się ostre rozbieżności polityczne, społeczne, gospodarcze, rasowe i ideologiczne, a nawet wciąż istnieje groźba wojny, która może wszystko doszczętnie zniszczyć. Wprawdzie coraz powszechniejsza

staje się wymiana poglądów, lecz te same słowa, w których wyrażane są ważne koncepcje, przybierają dość różne znaczenia w rozmaitych ideologiach. Wreszcie usilnie poszukuje się doskonalszego porządku doczesnego, lecz w tym samym tempie nie następuje wzrost duchowy. Wielu z naszych współczesnych, dotkniętych przez tak złożone okoliczności, nie ma możliwości rzeczywistego poznania trwałych wartości, a równocześnie właściwego dostosowania ich do wartości nowo odkrytych; stąd miotani pomiędzy nadzieją a lękiem, dręczą się w niepewności, zadając sobie pytanie o bieg spraw współczesnych. Ten bieg spraw prowokuje, a nawet zmusza ludzi do udzielenia odpowiedzi” (KDK 4).

Gdy czytam uważnie powyższe słowa Soboru, nasuwa mi się na myśl podana przez wybitnego znawcę literatury klasycznej i wielkiego humanistę, prof. A. Krokiewicza z UW, w ramach jednego z jego wykładów wygłoszonych ponad 40 lat temu, zastraszająca wizja człowieka współczesnego. Człowiek ten mianowicie ma niezwykle przenikliwe oczy, potrafi bowiem dzięki bardzo czułym mikroskopom oglądać dokładnie najmniejsze nawet cząstki materii, wirusy i bakterie, analizować ich budowę, a jego wydłużone niepomiernie – dzięki odpowiednim narzędziom – ręce pozwalają mu manipulować nimi dowolnie, natomiast olbrzymie teleskopy umożliwiają mu oglądanie najbardziej nawet odległych gwiazd i innych ciał niebieskich. Człowiek ten ma także bardzo wyostrzony słuch: dzięki przenoszonym błyskawicznie falom radiowym słyszy wszystko, co dzieje się na ziemi i poza jej obrębem. Człowiekowi wyrosły nawet wymarzone już w starożytności skrzydła: dzięki samolotom i innym latającym maszynom może wznosić się wysoko, bardzo wysoko, i pokonywać szybko wielkie odległości. Ma on także bajeczne buty siedmiomilowe, albowiem naziemne środki komunikacji ułatwiają mu błyskawiczne przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Ma on również dalekosiężne i wszechpotężne ręce, które dzięki odpowiednim maszynom przenoszą bez trudu olbrzymie masy stali, węgla, kamieni, a nawet całe wielkie budowle. Krótko mówiąc, cała fizyczna i zmysłowa sfera życia ludzkiego rozrosła się niebywale, osiągając niewyobrażalne dotąd rozmiary. Temu tak szybkiemu rozwojowi fizycznemu nie towarzyszył jednak odpowiednio proporcjonalny rozwój ducha; co gorsza, odnosi się nawet wrażenie, że ten duch się skurczył, zmalał do bardzo znikomych obecnie wymiarów. Współczesnemu człowiekowi zagraża przeto wielkie niebezpieczeństwo całkowitego wynaturzenia siebie: tego, że stanie się potworem, robotem, bezdusznym manekinem, manipulowanym lub manewrowanym przez

innych. Jeżeli nie nastąpi szybko nieodzowny rozwój ducha ludzkiego, to grozi ludzkości – konkludował profesor – całkowita zagłada: człowiek jest bowiem w stanie zniszczyć nie tylko samego siebie, ale i innych!

Przytoczone wyżej myśli i uwagi krytyczne podejmuje i rozwija na swój sposób Sobór Watykański II, kiedy stwierdza m.in., że obecnie „rozum ludzki w pewien sposób rozciąga swoje panowanie także nad czasem: nad przeszłością za pomocą poznania historycznego, nad przyszłością zaś za pomocą sztuki przewidywania i planowania. Rozwijające się nauki biologiczne, psychologiczne i społeczne nie tylko niosą pomoc człowiekowi w lepszym poznaniu siebie samego, lecz także wspomagają go w bezpośrednim oddziaływaniu na życie społeczne, dając odpowiednie metody praktyczne” (KDK 5). Niemniej „zachodząca często w sposób nieuporządkowany tak gwałtowna przemiana rzeczywistości, a nawet sama tylko wyraźniejsza świadomość występujących w świecie napięć, wywołuje bądź też powiększa sprzeczności i zachwianie równowagi. Osoba ludzka częściej doświadcza zachwiania równowagi pomiędzy współczesną umysłowością praktyczną a takim sposobem rozumowania teoretycznego, który nie potrafi ani zapanować nad ogółem własnych doznań, ani odpowiednio ich usystematyzować” (KDK 8). „Nowe warunki wreszcie wpływają także na życie religijne. Z jednej strony zdolność dokonywania bardziej krytycznej oceny oczyszcza je z magicznego nastawienia wobec świata i pokutujących nadal przesądów oraz domaga się coraz bardziej osobistego i aktywnego trwania w wierze, co powoduje, że wielu ludzi odkrywa potrzebę żywszego odczuwania Boga. Z drugiej zaś strony coraz większe rzesze odchodzą od praktyk religijnych. Inaczej niż w wiekach poprzednich nie jest już czymś niezwykłym i wyjątkowym negowanie Boga i religii albo oddalania się od nich; dzisiaj nierzadko ukazuje się to jako wymóg postępu naukowego albo jakiegoś nowego humanizmu. Wszystko to w wielu krajach znajduje wyraz nie tylko w poglądach filozofów, lecz także ma bardzo szeroki wpływ na literaturę, sztukę, nauki humanistyczne oraz interpretację historii, a nawet na prawa obywatelskie, w wyniku czego wielu ludzi przeżywa zaniepokojenie” (KDK 7).

Te wielorakie zakłócenia równowagi, na które cierpi dzisiejszy świat, wiążą się w swej istocie – według Soboru Watykańskiego II, na którego naukę powołuje się wciąż Jan Paweł II – „z owym bardziej podstawowym zachwianiem równowagi, które zakorzenione jest w sercu człowieka, jako że w samym człowieku zwalcza się nawzajem

wiele przeciwstawnych tendencji. Gdy bowiem z jednej strony jako stworzenie doświadcza częstego ograniczenia, to z drugiej jest nieograniczony w swych pragnieniach i czuje się powołany do wyższego życia. Pociągany przez liczne atrakcje zmuszony jest ciągle między nimi wybierać, niektórych zaś z nich się wyrzekać. Co więcej, będąc słaby i grzeszny, nierzadko czyni on to, czego nie chce, a nie czyni tego, co chciałby czynić. Stąd doświadcza w sobie samym rozdarcia, z którego również w społeczeństwie bierze się tak wiele poważnych nieporozumień. Wielka zaś liczba tych, których życie skażone jest materializmem praktycznym, odwodzona jest od wyraźnego uznania tego dramatycznego stanu rzeczy albo przynajmniej, dotknięta nieszczęściem, napotyka przeszkody w jego rzetelnym analizowaniu. Wielu sądzi, że odnajdzie spokój w przedstawianej na różne sposoby interpretacji rzeczywistości. Niektórzy zaś oczekują, że sam tylko ludzki wysiłek przyniesie prawdziwe i pełne wyzwolenie rodzaju ludzkiego i są przekonani, że przyszłe panowanie człowieka na ziemi spełni wszystkie pragnienia jego serca. Nie brakuje takich, którzy zwątpiwszy w sens życia, chwałą zuchwałości tych, co uważając egzystencję ludzką za zupełnie pozbawioną znaczenia, usiłują je nadać swojej egzystencji na podstawie własnej racjonalnej oceny. A jednak, wobec dzisiejszego rozwoju świata, coraz liczniejsi stają się ci, którzy bądź stawiają bądź też z nową wnikliwością postrzegają najbardziej podstawowe zagadnienia: Kim jest człowiek? Jaki jest sens cierpienia, zła, śmierci, istniejących nadal mimo dokonania się tak wielkiego postępu? Na cóż owe zwycięstwa osiągnięte za tak wielką cenę? Co człowiek może przynieść społeczeństwu czego od niego oczekiwać? Co nastąpi po tym ziemskim życiu?” (KDK 10).

Sobór nie miał także najmniejszej wątpliwości co do tego, iż jedyną odpowiedzią na aktualne bolączki i problemy świata oraz żyjącego w nim człowieka jest sam Jezus Chrystus, który „przez swojego Ducha dostarcza człowiekowi światła i sił, aby mógł on odpowiedzieć na swe najważniejsze powołanie” (KDK 10) i który faktycznie sprawia, że „Lud Boży inspirowany wiarą, że jest prowadzony przez wypełniającego świat Ducha Pańskiego, w wydarzeniach, potrzebach i pragnieniach, w których ma udział wraz z pozostałymi ludźmi naszej epoki, stara się rozpoznać, jakie są w nich prawdziwe znaki obecności albo zamysłu Bożego” (KDK 11).

Faktycznie więc toczony obecnie z tak wielką zaciekleścią spór o człowieka jest sporem o Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelię. Dlatego też – stwierdza w dalszym ciągu Sobór – Kościół „nie może przestać

z bólem, z całą stanowczością (...) ganić tych zgubnych doktryn i działań, które sprzeciwiają się rozumowi i powszechnemu doświadczeniu ludzkiemu i oddalają człowieka od wrodzonej mu wspaniałości”; jest bowiem nie tylko głęboko przekonany o tym, że jeśli „brakuje Bożego fundamentu i nadziei życia wiecznego, godność człowieka, jak to się często dzisiaj stwierdza, doznaje bardzo poważnego uszczerbku, a tajemnice życia i śmierci, winy i cierpienia pozostają bez rozwiązania, tak że ludzie nierzadko popadają w zwątpienie”, ale także „doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jego posłanie odpowiada najskrytszym pragnieniom serca ludzkiego, kiedy broni godności powołania ludzkiego i przywraca nadzieję tym, którzy wątpią już w wyższy wymiar swojego losu. Jego przesłanie nie tylko nie umniejsza człowieka, lecz dostarcza światła, życia i wolności” (KDK 21). Kościół nie ma również najmniejszej wątpliwości co do tego, że zwłaszcza „chrześcijanina z pewnością przynagła konieczność i obowiązek walki ze złem pośród licznych udręk, a także przyjęcia śmierci; ale złączony z misterium paschalnym i upodobniony do śmierci Chrystusa, wyjdzie umocniony nadzieją na spotkanie zmartwychwstania” (KDK 22).

Wypada zauważyć w tym miejscu, iż ostatni Sobór, starając się dać miarodajną i wyczerpującą odpowiedź na często stawiane pytania: „Co Kościół myśli o człowieku? Co wydaje się godne zalecenia dla budowy dzisiejszego społeczeństwa? Jaki jest ostateczny sens działalności ludzkiej na całym świecie?”, był głęboko przeświadczony o tym, iż ta podana przezeń odpowiedź uwidoczni bardziej wyraziście, „że Lud Boży i rodzaj ludzki, do którego jest on włączony, świadczą sobie wzajemną posługę, tak aby misja Kościoła okazała się religijna i przez to właśnie najbardziej ludzka” (KDK 11).

Same jednak słowa nie wystarczą; konieczne są czyny, konieczne jest pogłębienie i rozszerzenie ducha, ducha Ewangelii. Stąd też Jan Paweł II od zarania swej posługi papieskiej nie przestawał wołać: „Nie lękajcie się!” – Nie lękajcie się Chrystusa i Jego Ewangelii – „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!” Jego zaś największym pragnieniem był powrót mieszkańców Europy (i świata) do autentycznie chrześcijańskich korzeni, do ducha Ewangelii, a także dojście wreszcie do tego, by Europa oddychała „dwoma płucami”, czyli wielowiekową tradycją chrześcijaństwa wschodniego, która może i powinna wnieść nowego ducha do zgrzybiałej już w swym myśleniu i działaniu teologicznej tradycji zachodniej. To przecież z inicjatywy Jana Pawła II rozpoczął się już w 1979 roku, prowadzony na najwyższym szczeblu, dialog z prawosławiem, który doprowadził do opracowania trzech bardzo ważnych

dla eklezjologii i Kościoła dokumentów wspólnych, które – ukazując wyraziście wspólne dwom tradycjom korzenie eucharystyczno-eklezjalne – zakwestionowały samą swą wymową eklezjalność większości wyznaniowych wspólnot protestanckich, pogłębiając tym samym wielką już przepaść dzielącą katolików od protestantów. Ale nie mogło na gruncie prawdy być inaczej!

Nie będę wnikał w przyczyny aktualnego, widocznego gołym okiem, załamania się dialogu ekumenicznego, który rozwijał się tak żywiołowo po Soborze Watykańskim II. Jest ich niewątpliwie wiele i są bardzo zróżnicowane. W kontekście jednoczącej się wciąż Europy muszę jednak stwierdzić przynajmniej tyle, że bez autentycznie ekumenicznego „dogadania się” jej jedność może być co najwyżej tylko połowiczna (np. gospodarcza, ekonomiczna), jeśli nie czysto pozorna. Rozbieżności są bowiem tak wielkie, że sam tylko Duch Święty może być Sprawcą autentycznego zjednoczenia. Jeśli na przykład podpisano 31 października 1999 r. w Würzburgu *Wspólną deklarację w sprawie nauki o usprawiedliwieniu*, stanowiącej najbardziej istotny przedmiot sporu katolicko-protestanckiego, to nie tylko że nie uzgodniono w niej jeszcze wszystkiego, co dzieli oba wyznania, ale – co gorsza – deklaracja ta nie ma żadnej mocy wiążącej poszczególne wyznania protestanckie. Faktycznie więc poza przejawem wzajemnej „dobrej woli” nie dokonało się nic konkretnego na drodze pojednania obu tych wyznań. Dominują natomiast ciągle w Europie Zachodniej dwa wspomniane wyżej, krańcowo różne spojrzenia na człowieka: katolickie i protestanckie, przy czym – podejmowany w dobrej wierze i woli przez katolików na Zachodzie – dialog ekumeniczny doprowadził – niestety – faktycznie do tego, że katolicy zaczęli w swym życiu codziennym upodabniać się coraz bardziej do protestantów, negujących wiele tradycyjnych wartości katolickich (zbawcza wartość ofiary Chrystusa i naszej, sens modlitwy za innych, nadprzyrodzony cel życia ludzkiego itp.). Nie wróży to nic dobrego zjednoczonej zewnątrznie, ale podzielonej głęboko duchowo, Europie Zachodniej. Nie można lekceważyć także głębokich ran, jakie wycisnął na postawie, życiu i mentalności ludzi Zachodu najgorszy chyba ze wszystkich systemów i światopoglądów nowożytnych, jakim było Oświecenie, które zdetronizowało Boga, a na Jego miejscu umieściło w głównym ołtarzu największej świątyni paryskiej nagą kobietę, doprowadzając w końcu do rozlewu krwi i bestialskiej rzezi ludzi podczas tzw. Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Odnoszę często wrażenie, że dopóki naród francuski nie oderwie się w swej całości i w swych oficjalnych przedstawicielach od demagogicznych

hasel i idei wywodzących się z Oświecenia, nie stanie się autentycznym partnerem w budowaniu nowej zjednoczonej Europy.

4. Wnioski i sugestie

Tak wyraźny obecnie w Zjednoczonej Europie spór o człowieka we wszystkich jego wymiarach (od aborcji po eutanazję, od reklam po narkotyki, od wychowania po wykształcenie, itd.) jest w ostatecznym rozrachunku sporem o wartości i o Wartość najwyższą – o Boga. Codzienne doświadczenie ukazuje natomiast wyraźnie, że jest to walka „na śmierć i życie” między Księciem tego świata a Chrystusem, pomiędzy mocami ciemności a światłem „prawdy i życia” (por. J 8, 44; 14, 6). Już sam Chrystus zarzucał swoim przeciwnikom: „Dlaczego nie rozumiecie mojej mowy? Bo nie możecie słuchać mojej nauki. Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać požądania waszego ojca. Od początku był on zabójcą i nie wytrwał w prawdzie, bo prawdy w nim nie ma. Kiedy mówi kłamstwo, od siebie mówi, bo jest kłamcą i ojcem kłamstwa. A ponieważ Ja mówię prawdę, dlatego Mi nie wierzycie” (J 8, 43-45), zapewniając zarazem swoich uczniów: „Na świecie doznacie ucisku, ale odwagi! Jam zwyciężył świat” (J 16, 33). Jedynym skutecznym środkiem walki o człowieka, o jego wielką godność i o powszechny szacunek dla niego, jako autentycznego ambasadora Boga na ziemi (to bowiem w rzeczy samej oznacza fakt stworzenia go na „obraz i podobieństwo Boga” samego), jest zatem – w ostatecznym rozrachunku – autentyczna wierność Chrystusowi i Jego Ewangelii głoszonej przez stulecia w Kościele i przez Kościół.